

## Kaliszewski Jakub

### Kości chudych dzieci

Z „Science Fiction” nr 12 – luty 2002

*Świeże groby zawsze wzruszą,  
niezależnie, gdzie kopane  
gdy porosną, wyjdzie na jaw,  
kto szczuł i co było grane.*  
**J. Kleyff „Telewizja”**

- Nudzi ci się, co, Zelig?  
Szeff popatrzył na mnie z politowaniem i westchnął. Podrapał się po tysej czaszce brudnymi paznokciami.  
- Chyba wiesz, jaka to śliska sprawa.  
- Właśnie dlatego... szefie, przecież to wymarzony temat - drażyłem. Wymarzyłem sobie ten reportaż już dawno temu i czułem, że naczelny nie da się długo przekonywać, muszę mu tylko udowodnić, że naprawdę mi na tym zależy. - Nie dosyć, że rocznica, to jeszcze wybory... Na pewno „Zeitung” będzie chciał zrobić to samo.  
- Myślisz? - Szeff podniósł brew i zamyślił się. Miałem go. „Zeitung”, nasz jedyny istotny konkurent na północnej półkuli, wzbudził ostatnio sensację ujawnieniem tajnych archiwów EIA z czasów wojen marsjańskich. Wystarczyło przypomnienie liczby wejść na ich strony w tym feralnym dla nas dniu, aby naczelny złapał haczyk.  
- Uhm... No, dobrze... - walczył ze sobą szef. - Ostatecznie zawsze mogę nie puścić tego, co przywieziesz. Tylko pamiętaj, łagodnie o MLA. Jeśli wsiądzie na nas Darien i jego ludzie, to fakt, że najpierw poleci twoja głowa, będzie małym pocieszeniem dla lecącej za nią mojej.  
Przełknąłem to jakoś. Nawet najpoczytniejsza gazeta Konfederacji musiała liczyć się ze zdaniem prezydenta Ziemi i jego niezmordowanej armii prawników. Wszyscy oni zwaliliby się nam na głowę, gdybym tylko wspomniał coś zanadto niepoehlebnego o uważanej dziś za bohaterską Armii Marsjańskich Lojalistów, w której walczył ongi prezydent Darien.  
Tylko jak napisać o masakrze pod Amalteą, nie wspominając o MLA?  
- Masz dwa tygodnie - głos szefa wyrwał mnie z zamyślenia. - Jak nie zdążysz, damy standardową notkę rocznicową. Jeśli zdążysz, ale mi się nie spodoba - to samo. I uważaj na siebie, ostatnio znowu było parę zamachów.  
Ta jest, szefie - zsalutowałem, obróciłem się na piętach i wymaszerowałem z gabinetu, ściskając w rękę akredytację.

\* \* \*

Przed odprawą podszedłem do terminala, kupić aktualne wydania ziemskich i marsjańskich gazet - po pierwsze, żeby być na czasie, po drugie - żeby się czymś zająć w czasie startu i lądowania, które zawsze źle znosiłem.

Moją uwagę przykuła krzycząca czerwienią miniatura okładki na samym dole ekranu. Powiększyłem ją. „CAŁA PRAWDA O AMALTEI” - wrzeszczał krwawymi literami tytuł jakiejś szmatławej broszurki anonimowego wydawnictwa. - „50. ROCZNICA OSZUSTWA?”

Wzruszyłem ramionami, ale wsunąłem kartę do czytnika i zgrałem broszurkę. Postanowiłem sprawdzić, co mogę znaleźć na interesujący mnie temat w każdym, najmniej nawet wiarygodnym źródle. Może i tutaj trafię na jakiś ślad?

Rzeczywiście, zbliżały się pięćdziesiąte rocznice wydarzeń tamtego pamiętnego roku, ostatniego roku wojny. Komisja Śledcza, obalenie prezydenta Funakiego, wycofanie ostatnich jednostek, wreszcie uznanie niepodległości Marsa... A wszystko zaczęło się właśnie od Amaltei.

Przepchałem się przez bramkę i stanąłem na chodniku jadącym prosto do brzuchatego wnętrza promu. Miałem przed sobą parę minut jazdy, chodnik był stary i powolny, otworzyłem więc projektor i zacząłem przeglądać ściągniętą broszurkę.

Widziałem już takie rzeczy. Autor, legitymujący się tytułem profesora jakiegoś nieznanego uniwersytetu - na przykład Texarkana University of Historical Studies, czy Pendzabsko-Kaszmirska Akademia Nauk - na trzydziestu paru bogato ilustrowanych zdjęciami z epoki stronach starał się dowieść, że cała historia masakry została spreparowana przez „Rebeliantów” (jak nazywano wówczas - a, jak widać, czasami i teraz -bojowników o wolność Marsa), by wstrząsnąć opinią publiczną na Ziemi i przyspieszyć pozytywne rozstrzygnięcie konfliktu. Przy okazji wspomniano też o innych masakrach i masowych grobach, odkrytych przez Komisję Śledczą, powołaną do życia właśnie po wydarzeniach w Amaltei - one też miały być wielkimi i mniejszymi mistyfikacjami. Morał był jasny: MLA była czysta, jej bojownicy - prezydent Darien zwłaszcza - to bohaterowie, a Marsjanom należy się nauczka,

Całe szczęście, że poparcie dla Dariena nie przekłada się na poparcie dla następnej wojny, pomyślałem.

Ciekawostką broszurki były fragmenty wywiadu, jakiego autorowi (autorom?) udzielił jeden z żyjących jeszcze uczestników masakry. Wedle jego słów dzieci, które przedstawiono Komisji, zostały przez Rebeliantów spędzone do Amaltei i wyuczone tego, co mają mówić. Ciekawe.

Thorvald Christiansen. Sprawdziłem szybko - rzeczywiście, kroniki sprzed pięćdziesięciu lat wspominały takie nazwisko. Zanotowałem sobie, że muszę go koniecznie odwiedzić po przylocie.

Więcej rewelacji w broszurce nie było, skasowałem ją więc bez żalu. Chciałem zabrać się do przeglądania dzienników, ale chodnik przywłókł się w końcu do kresu swej podróży. Przekroczyłem okrągłe wrota promu, rozejrzałem się - byłem ostatnim pasażerem, pozostali wyprzedzili mnie po drodze, ufając raczej własnym nogom niż zdezelowanemu taśmociągowi; trudno im się było dziwić. Usiadłem w niezbyt komfortowym fotelu „business class”, poprosiłem stewardesę (przyjemnie ludzką; jak zdążyłem się zorientować, jednym z nielicznych plusów kiepskiego budżetu Ares Aero był fakt, że zatrudniali więcej żywego personelu niż inne linie) o tranquilizer i rozłożyłem się jak mogłem najwygodniej w oczekiwaniu na start. Jak ja tego nie lubię.

Lotnisko w Olympus to, mimo pięćdziesięciu lat samodzielnych rządów tej byłej górniczej kolonii, nadal zapyziały barak w przeraźliwie różowym kolorze odpadającej płatami farby izolacyjnej. Nigdy się nie zmienia i chyba już się nie zmieni. Jednak jest to także nadal główny port kosmiczny Czerwonej Planety. Codziennie przewalają się przez niego tysiące pasażerów - turystów, robotników, farmerów, naukowców... a między nimi od czasu do czasu trafiają się ci, którym zawsze coś się nie podoba, terroryści.

Kontrola celna była tutaj wyjątkowo drobiazgową. Każdy pasażer musiał nie tylko poddać gruntownemu przeszukaniu siebie i swój bagaż, ale też musiał przejść przez ekran prześwietlenia. Dwa dni wcześniej jakiś nieszczęśnik nafaszerował się Cortexem - jadalnym materiałem wybuchowym - i wywalił wielką dziurę w sekcji „toalety - łazienki” portu. Gdy lądował mój prom ofiary jeszcze liczono. Oddzielanie flaków od gównien - brr... nieprzyjemna robota.

Celnik, gdy wcisnąłem mu w łapę moją legitymację - ze skromnym napiwkami wsuniętym za zakładkę - wpatrywał się w nią długo, myśląc nad czymś intensywnie.

- „Gazeta Codzienna”... - rzekł wreszcie powoli. Chciałem rzucić jakąś zgryźliwą uwagę na temat jego umiejętności czytania - tytuł mojej netzety był umieszczony na karcie wołami w czterech głównych językach Układu - ale szybko ugryzłem się w język. Kłopoty na granicy były ostatnią rzeczą, jakiej mi było trzeba. Czego on się tak przyczepił? Zawsze staramy się pisać o Marsie łagodnie, ważąc racje obu stron, niczego nam nie można zarzucić. Że nie mówimy wszystkiego? A kto mówi? Nie chcemy przecież, żeby nam odebrano licencję, prawda?

- Witamy na Czerwonej Planecie, redaktorze... Zelig. - Celnik przemysłał do końca swoją wypowiedź, prestidigitatorsko zręcznym ruchem wyłuskał banknot (ech, te przedpotopowe formy wręczania łapówek... kiedy wreszcie Mars przejdzie w stu procentach na obrót bezgotówkowy?) i oddał wytłuszczoną legitymację. Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, ale w końcu puścił.

Na zewnątrz, w strugach wieczornego deszczu, czekało kilka taksówek, w równie imponującym stanie co budynek lotniska - porzewiałe rzęchy, ledwo odrywające się od ziemi. Trudno było wybrać spośród nich jeden wyglądający lepiej od innych. Wsiadłem do pierwszego wozu z brzegu.

- „Sheraton” - rzuciłem.

- Ay - odparł prowadzący samochód Japończyk i ruszył. Karoseria brzęczała i drżała, silnik bzycał nerwowo. Zastanawiałem się, kiedy ten gruchot się rozleci. Hałas zagłuszał trajkotanie kierowcy, z którego i tak nie rozumiałem ani słowa - mówił jakimś straszliwym lokalnym slangiem. Po intonacji rozróżniałem tylko, kiedy pytał mnie o coś - wówczas na wszelki wypadek przytakiwałem - a kiedy przeciw czemuś protestował. Co jakiś czas naciskał klakson i wychylając się przez szybę wygrażał

przejeżdżającym obok, na co tamci zalewali nas potokiem równie niezrozumiale brzmiących obelg, po czym obie strony oddalały się zadowolone.

Wreszcie taksówka stanęła i spadła - właśnie: spadła z grzechotem, a nie osiadła łagodnie, tak jak by się można spodziewać - na chodnik przed najlepszym hotelem w mieście. Trzygwiazdkowy „Olympus Sheraton” mieścił się w jednym z najstarszych budynków, niegdysiejszym kapitanacie portu, zbudowanym w porządnym, klasycznym stylu szkło-aluminium. Miła odmiana po niekończących się szeregach jednakowych plastikowych baraków, z których w większości składała się zabudowa miasta.

- Ayścia - mruknął przez nos kierowca. Spojrzawszy na poplamiony licznik upewniłem się, o jaką kwotę mu chodzi i wysuwałem dwie dziesięcioaresowe monety. Zatechnie wewnątrz taksówki wypluło mnie na deszcz.

- Ładna pogoda - zagadnąłem przysypiającego portiera. Poza sezonem niewielu turystów odwiedzało Olympus, jeszcze mniej stać było na ten stosunkowo drogi hotel. Portier w czerwonej liberii spojrzał na mnie jak na nieszkodliwego wariata, otaksował wzrokiem i doszedłszy do wniosku, że nie doczeka się ode mnie sutego napiwku, postanowił zignorować.

Z jedną walizką podszedłem do terminala w recepcji i zameldowałem się w zarezerwowanym pokoju. Terminal przynajmniej nie chciał napiwku.

Z samego rana lotobusem - jakoś nie mogłem się poważyć na ponowne wypróbowanie tutejszych usług taksówkarskich - patelepałem się na miejsce akcji, czyli do Amaltei. W łagodnym świetle stojącego w zenicie Słońca powędrowałem na plac centralny, do pomnika masakry.

Na trzymetrowym czarnym monolicie dziesięciocentymetrową czcionką wyryte były sześćdziesiąt dwa nazwiska znanych ofiar i kilkanaście linii kropek, oznaczających niezidentyfikowane ciała. Poniżej przykręcono mosiężną tablicę z napisami w trzech głównych językach Konfederacji - angerze, romanie i ruslawie:

*W pobliżu tego miasta w 15 roku C.E., w szóstym roku Wojny Marsjańskiej, bandyci (w wersji angerkiej napisano: żołnierze) Marsjańskiej Armii Lojalistów dokonali bestialskiego (tego słowa brakowało w tekście angerkim) mordu na kilkudziesięciorgu dzieciach zgromadzonych w obozie uchodźców, będącym pod opieką Konfederacji Ziemskiej.*

*Siedemdziesiąt cztery ciała, odnalezione w zbiorowym grobie poza granicami miasta, złożono pod tym kamieniem. Niech ich ofiara nie pójdzie na marne.*

Krótko i lakonicznie, tekst przedstawiał jedynie niewątpliwie ustalone fakty. Takie były wymagania wszystkich stron. Od zmodyfikowania - złagodzenia - tekstu spisane w angerze, języku najpowszechniej używanym na terenie Konfederacji, Ziemia uzależniła zgodę na oficjalne przeprosiny, które wygłosił nowo wybrany prezydent Uhlaru w piątą rocznicę mordu.

Postałem tak chwilę, zastanawiając się. Zawsze zaczynałem dochodzenie od postania i pomyślenia w miejscu, gdzie zaszło wydarzenie będące tematem mojej pracy.

Z jedenaściorga dzieci, które pół wieku temu przeżyły, by zaświadczyć o masakrze, żyła dzisiaj piątka. Poza Tomem Kammaneerem, który odpracowywał wyrok gdzieś w kopalniach na Księżycu, reszta mieszkała na Marsie i to całkiem niedaleko, w promieniu stu mil od miasta, w którym wyszli cało ze spotkania ze śmiercią.

Zanim wyruszyłem do osady, w której miałem nadzieję znaleźć Christiansena, przespacerowałem się po centrum Amaltei. Miasto - według ziemskich standardów nieduża miejscina - było równie szare i smutne, jak Olympus, a w dodatku jeszcze bardziej, o ile to możliwe, zapuszczone. Jedynie w centrum dała się zauważyć jakaś aktywność władz - stary, smutny ogrodnik snuł się po placu i starał się doprowadzić do porządku zwiędły trawnik na skwerze okalającym cokolwiek pomnika. Wiedziałem, że wkrótce do miasteczka zjadą ekipy porządkowe ze stolicy, przystosować osadę do powitania licznych gości, przybywających na rocznicowe uroczystości, ale na razie miejsce to wyglądało, jakby nawet tutejsi mieszkańcy starali się o nim zapomnieć.

Podszedłem do ogrodnika, jedyne go tubylca, jakiego spotkałem do tej pory, który wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat. Po drodze mijałem głównie ludzi młodych, całe rodziny, sprowadzone świeżo z Ziemi i różnych kolonii do zasiedlenia rozległych marsjańskich ugorów. Starsi Marsjanie zwykle udawali się na emeryturę poza planetę, byle dalej od wszechobecnych oranży i czerwieni, które przez długie lata zdążyli znienawidzić. Nie dziwiłem im się - byłem tu dopiero drugi dzień i już zaczynałem nabawiać się alergii na te barwy.

- Pracuje się? - zagailem niezbyt inteligentnie. Jednostajny szum deszczu - czy tu zawsze pada? - ogłupiał i usypiał. Ogrodnik wyprostował się, ziewnął, na jego pomarszczonej twarzy nie mogłem wyczytać żadnych emocji. Mruknął potwierdzenie i stał tak, czekając na dalszy ciąg rozmowy.

- Długo tu życie? - spytałem.

- Od urodzenia - wymamrotał tamten przez wypadające zęby. Mówił z zadziwiająco czystym akcentem, należał widocznie do jednej z pierwszych fal kolonizacji. To było coś. Ruchem kciuka włączyłem rejestrację.

- To pewnie pamiętacie tamto - wskazałem ręką na tonący w rudym od pyłu deszczu pomnik.

- Aa... co mam nie pamiętać... pamiętam... - Stary zacisnął suche wargi, jakby dając do zrozumienia, że nie powie wiele więcej.

- Opowiecie? - drażyłem. Nie mogłem przepuścić takiej okazji, to było idealne na start - rozmowa ze starym ogrodnikiem w deszczu... dobry scenariusz to podstawa porządnego reportażu, zawsze tak uważałem.

- A kto pyta? - odparł ogrodnik. Tu był najbardziej drażliwy moment. Mówić prawdę czy historyjkę? Historyjkę miałem jeszcze nie do końca dopracowaną, a stary wyglądał na jednego z tych wiekowych wieśniaków, którzy zawsze potrafią poznać, kiedy ktoś kłamie.

- „Gazeta Codzienna”, reporter Adrian Zelig. - Błysnąłem blachą. - Robię wspomnieniowy reportaż o masakrze...

- Aaa... - Ognodnik pokiwał głową. - Jak tak, to powiem. Tylko czekaj pan, skończę ten skwerek.

Tak! Pierwszy rozmówca i pierwszy sukces. Dobry znak.

Ognodnik posuwał się przed siebie z prędkością chorej dżdżownicy, zagrabienie rachitycznego skwerku zajęło mu dobre pół godziny, w ciągu których miejscowe wirusy zdołały wreszcie przebić się przez mój wzmocniony profilaktyczną dawką probiotyków układ immunologiczny i zacząłem kichać na potęgę.

- *Sundheit* - pozdrowił mnie ogrodnik, kiedy skończył swoją robotę. - Chodźmy do szopy, nastawię czif.

„Czif” okazał się tajemniczą miksturą o barwie mocnej kawy i smaku czegoś wyciśniętego z wycieraczki. Ostatni raz piłem coś takiego w czasie podróży z kierowcami syberyjskich ciężarówek. Sącząc powoli łyżeczek za łyżkiem, słuchałem opowieści ogrodnika. Po trzech minutach wiedziałem, że jego historia nada się jedynie na zajawkę - więcej było w niej wiadomości z gazet niż osobistych wspomnień. Mogłem coś takiego sam spreparować. Ale w sumie, czego się spodziewałem? Mieszkańcy Amaltei sami niezbyt byli świadomi tego, co działo się w zbudowanym kilka mil za rogatkami obozie dla uchodźców. O wszystkim dowiedzieli się dopiero z wiadomości, z raportu Komisji Śledczej, z plotek. Można się domyślać, że kilku starszych mieszkańców, „etatowo” wyznaczonych do rozmów z gromadnie odwiedzającymi niegdyś miasto dziennikarzami, wypracowało sobie ustalone, jednolite wersje wydarzeń.

Podziękowałem staremu za opowieść i za napój - czułem już, że po powrocie do hotelu będę musiał wziąć coś na serce - i wyszedłem z szopy. A jednak, bywają tu chwile bez deszczu!

Trzęsący się lotobus przewiózł mnie do Małej Shirley, rolniczej osady położonej wśród niskich, skalistych wzgórz. Wyglądała o wiele lepiej niż miejscowości widziane przeze mnie dotychczas. Dziwiąc się schludnym, czystym ulicom i biało pomalowanym ścianom baraków, przypomniałem sobie, że większość mieszkańców Shirley stanowili koloniści ze Skandynawii, protestanci. Najwyraźniej postanowili przenieść na rudą glebę fragment swoich rodzinnych stron. Nieźle im się to udawało.

Na przystanku stał, utrzymany w nienagannym stanie, srebrzysty terminal.

- Thorvald Christiansen, adres - rzuciłem. Terminal odpowiedział mi czystym angerem, jednocześnie podając adres na ekranie i drukując na pasku. Co za luksus! Zerwałem pasek i kierując się dokładnymi drogowskazami, odnalazłem mały biały domek.

Drzwi otworzył mi mężczyzna na oko sześćdziesięcioletni, ale bardzo dobrze wyglądający. Prawie żadnych siwych włosów w złocistej czuprynie, żwawe, błękitne, lśniące oczy obejrzały mnie od stóp do głów. Poczułem się nieswojo, chociaż mój rodowód, z tego co wiem - nie, żeby mnie to kiedyś interesowało - jest czysto aryjski na wiele pokoleń wstecz.

- Ja?

Hmm... co teraz? Nie wyglądał na kogoś, kto regularnie czytuje „Gazetę Codzienną”.

- Jestem dziennikarzem... czytałem wywiad z panem w „Całej Prawdzie...” i chciałem porozmawiać...

- Jaka gazeta? Proszę pokazać legitymację. Miał twarde, północny akcent, nieprzyjemnie chrapliwy. W dzieciństwie musiał być idealnym chłopcem z propagandowych plakatów Hitlerjugend. Nic dziwnego, że oprawcy z MLA go oszczędzili, uważali pewnie, że taki słodki cherubinek znalazł się w obozie przez pomyłkę.

Pokazać legitymację. No, cóż, w tym momencie kończyła się moja inwencja - nie miałem przygotowanej zapasowej, fałszywej karty od „Prawdziwego Ziemianina”, czy co tam czytał mój hitlerek. A pokazać coś musiałem - stary wpatrywał się we mnie wyczekująco.

- „Gazeta Codzienna”, dział reportażu. Facet aż się zachłysnął, rzucił coś chrapliwie, w czym rozpoznałem tylko kilka słów - jakieś stare przekleństwa - i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

- I ciebie też! - odrzyknąłem. Cisza. Rozejrzałem się - w okolicznych oknach pojawiły się zatroskane twarze. Dla pewności zadzwoniłem jeszcze raz, odczekałem chwilę i odszedłem, zanim ktokolwiek z sąsiadów zainteresował się, czemu dobijam się do czyjegoś małego, białego, czystego domku.

W „Sheratonie” zrobiłem to, co powinienem był w zasadzie zrobić przed podróżą do Shirley - sprawdziłem Christiansena w archiwach. Okazało się, że facet od piętnastego roku życia udzielał się bardzo aktywnie w lokalnym życiu politycznym. Kontaktował się głównie z różnymi formacjami powstałymi po rozwiązaniu MLA, organizacjami typu „Czysty Mars” i tak dalej. Był współzałożycielem Małej Shirley - „pierwszej aryjskiej osady” na Czerwonej Planecie. Zapraszano go na wykłady, na kongresy, gdzie głosił te same rewelacje, które przeczytałem w broszurce na Ziemi. Jedyny uczciwy, jedyny spośród jedenastki, który odważył się powiedzieć prawdę.

Nieźle. Skąd się biorą tacy ludzie? Przecież był tam, widział wszystko, jak mógł teraz temu zaprzeczać, i to z taką energią, z takim przekonaniem? Przypadek dla psychoanalityka.

Skreśliłem blond aniołka z listy. Została mi trójka.

Marinę Guljević znalazłem w małej cerkiewce wykonanej z imitacji drewnianych bali, stojącej pośrodku wioski zbudowanej niemal w całości z tego samego materiału, zamieszkałej przez ruslawskich imigrantów. Miałem mało czasu przed wieczorną mszą, którą celebrować miała właśnie Marina. Otworzyłem drzwi świątyni - wewnątrz było ubogie, ale gustowne, ołtarz chyba sprowadzono z Ziemi - wyglądał na starą robotę, chociaż dla mnie wszystkie ikony wyglądają na stare. Atmosfera w tym miejscu była niesamowita. Nie jestem człowiekiem religijnym, ale ciepły, przytulny mrok sali, ciężkie powietrze przesycone zapachem kadzideł, sprawiały wrażenie obcowania z czymś naprawdę niezwykłym. Zdumiewające, jak udało się na tej surowej planecie odtworzyć takie warunki? Na środku krzątała się jakaś kobieta w długiej, czarnej szacie, myjąca podłogę. Chrząknąłem - kobieta odwróciła się. Jej uśmiechnięta twarz była pomarszczona jak wysuszona śliwka, a od uśmiechu tylko przybyło jej małych zmarszczek pod rzadkimi, siwymi włosami spiętymi w kok.

- Khm... *Jeśli mat' Marina?* - spytałem, wyczerpując moją znajomość ruslawu. Miałem nadzieję, że to wystarczy. Musiało wystarczyć.

- *Da, sem ja* - odparła kobieta, odstawiając miotłę i wycierając dłonie w fartuch. Poczułem się dziwnie swojsko, chociaż nigdy w życiu nie byłem na prawdziwej wsi. Czy w ogóle na Ziemi były gdzieś jeszcze takie wsie? Obudził się chyba we mnie jakiś atawizm na widok tego ciemnego, drewnianego wnętrza i sprzątającej podłogę staruszki.

- Jestem reporterem „Gazety Codziennej” - przedstawiłem się po angersku. Odpowiedziało mi życzliwie zainteresowane spojrzenie. - Jeśli ma pani chwilkę... Chciałem porozmawiać o... - zawahałem się. Nie wiedziałem, jak kobieta zareaguje na wspomnienie masakry, która zmieniła jej życie. Może starała się o tym zapomnieć, wymazać z pamięci? Może już nie pamiętała?

...Amaltei? - dokończyła za mnie, wciąż się uśmiechając. - Oczywiście, proszę za mną, mam akurat pół godziny wolnego, nim zacznę przygotowania do wieczernicy. Miałam się pomodlić, ale - uśmiech odsłonił szereg zdrowych, prawdziwych zębów - to zawsze zdążę zrobić, prawda?

Była urocza. Podążyłem za nią przez drzwi w tylnej ścianie sali i po schodkach do pokoiku na pięterku, urządzonego równie skromnie i schludnie, jak cała świątynia.

- *Sadte* - wskazała na zydelek. Dyskretnie opukałem mebel - prawdziwe drewno! Parafia nie była więc tak uboga, jak mogłoby się wydawać. Siadłem i odczekałem chwilę, aż matka Marina naleje sobie wody z glinianego dzbana. - Panu też nalać?

- Nie, dziękuję.

Usiadła na krześle naprzeciw mnie, sięgnęła ręką za głowę i rozpuściła włosy. Westchnęła ciężko, ale z zadowoleniem, jak wzdycha się tylko po dobrze wypełnionym obowiązku. Włączyłem rejestrator.

- Dziennikarze przychodzą tu tylko w dwóch sprawach - zaczęła, nim zadałem jakiegokolwiek pytanie. - Amaltea i moja parafia. Jedyna parafia prawosławna na Marsie, wie pan. I w dodatku prowadzona przez kobietę, to ciągle jeszcze wzbudza sensację.

Kiwnąłem głową. Kościół prawosławny wprowadził kapłaństwo kobiet niespełna dwadzieścia lat temu, i nawet na Ziemi „popadzie” były ciągle jeszcze rzadką ciekawostką.

- Ponieważ zbliża się rocznica, no i, pan wybaczy, nie wygląda pan na kogoś z redakcji religijnej, domyśliłam się od razu, o co chodzi. No więc, słucham, jakie ma pan pytania?

Odchrząknąłem. Czułem się, jakbym przesłuchiwał własną matkę.

- Właśnie z powodu rocznicy... chciałem zrobić reportaż o życiu tych, którzy przeżyli tamten dzień. Jak minęło im te pięćdziesiąt lat? Kim teraz są, co robią? Czy ich życie wygląda inaczej niż życie rówieśników? Tego typu rzeczy.

- Och, to bardzo ciekawe - zainteresowała się szczerze matka Marina. - Z przyjemnością odpowiem na takie pytania. Wie pan, tu przychodzą różni ludzie - zafrasowała się - i wypytyują głównie o różne szczegóły... Każą sobie opowiadać w kółko, jak leżałam na dnies dołu, pod tymi wszystkimi ciałami... a to naprawdę nie jest moje najmilsze wspomnienie. To tak, jakby wszystko, co zrobiłam w życiu, było nieważne, jakby liczył się tylko ten jeden dzień sprzed pół wieku.

- No właśnie - podchwyciłem. - A ja chciałbym wiedzieć, co działo się z panią, z matką... - Nie wiedziałem, jak ją nazywać, jaki jest prawidłowy tytuł. Cholera, nie przygotowałem się.

- Wszystko jedno, mój synu. - Życzliwie skinęła dłonią, ale to „mój synu” rozwiązało problem.

- Co się z matką działo potem, jak potoczyły się jej losy. Może zaczniemy od początku. Po zakończeniu dochodzenia Komisji Śledczej całą waszą jedenastkę odesłano z powrotem na Marsa...

Ależ nie, nie! - zaprotestowała. - Co mielibyśmy robić na Marsie? Przynajmniej niektórzy z nas. Chyba tylko czworo dzieci odnalazło swoje rodziny sprzed wojny, kilkoro przyczepił sierociniec w Olympus... ale ja i jeszcze parę innych zostaliśmy na Ziemi.

To było zaskakujące. W materiałach, do których się dokopałem, stwierdzono, że wszystkie dzieci odnalezione w obozie pod Amalteą dostarczono do rodziców lub, jeśli tamci nie żyli, do krewnych.

- Przed wojną przyleciała tylko nasza trójka, ojciec, matka i ja - wyjaśniła matka Marina. - Rodzice zginęli zaraz na początku, a ja pięć lat błąkałam się po obozach... Nie miałam po co wracać. Przygarnęli mnie zakonnicy na Solówkach.

- Dlaczego właśnie zakonnicy? Kobieta uśmiechnęła się promiennie i spojrzała gdzieś nade mną, coś sobie przypominając.

- Chciał pan, zdaje się, spytać, czy i w jaki sposób dzień mordy odmienił moje życie... Powiem panu. Tego dnia wydarzyło się coś więcej niż tylko brutalna masakra. Gdybym pamiętała tylko tyle, moje życie prawdopodobnie byłoby koszmarem i skończyłabym tak jak większość z nas.

Połowa z jedenaściorga niedobitków z Amaltei odebrała sobie życie lub zginęła w tajemniczych okolicznościach. Właśnie dlatego tak trudno było odnaleźć żyjących świadków masakry. Mogłem sobie tylko próbować wyobrazić, jak ciężkie jest życie z takim wspomnieniem...

- Kiedy ustawili nas na placu i zaczęli krzyczeć i strzelać, zaczęłam się modlić. I wtedy poczułam... poczułam dotknięcie na ramieniu i słodki, łagodny głos: „Nie lękaj się”. Natychmiast przestałam się bać, wiedziałam, że przeżyję, jeśli tylko będę słuchać tego głosu. „Nie lękaj się” - powtarzał, a wokół świszczą kule, dzieci padały na ziemię, tryskała krew, krzyk, panika, przerażenie. Byłam zupełnie spokojna. „Padnij teraz” - usłyszałam i zrobiłam tak, a w tej samej chwili nad moją głowę przeleciał pocisk. „Połóż się pod ciałem tej dziewczynki” - mówił dalej głos, i tak aż do końca, krok po kroku, głos w głowie przekazywał mi dokładne polecenia, dzięki którym przeżyłam. Czy wie pan, co to był za głos? - Przerwała na chwilę, po czym nachyliła się do przodu i sama sobie odpowiedziała z pewnością w głosie: - To była Najświętsza Panienska.

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Z natury sceptyczny, odrzucałem całą tę historię jako oczywisty wytwór histerii i fantazji. Ale nie mogłem przecieżyć jej tego tak wprost...

- Nie wierzy pan. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście, nie wymagam przecieżyć, żeby mi pan wierzył. Nie szkodzi. Widzę, że jest pan uczciwym człowiekiem i nie wyśmiej mnie, a to wystarczy. No więc tak, to był najważniejszy dzień w moim życiu, ale wcale nie dlatego, że wokół mnie zginęły dziesiątki innych dzieci. Tego dnia dowiedziałam się o istnieniu rzeczy ważniejszych niż życie czy śmierć. Dowiedziałam się, że Bóg wybrał mnie, abym dawała świadectwo. Dlatego właśnie poszłam do zakonników - skończyła i opadła na oparcie krzesła. Łyknęła wody z kubka, a ja czekałem, zastanawiając się nad następnym pytaniem.

- Najpierw im pomagałam, potem złożyłam śluby... - podjęła wątek, gdy tylko przełknęła. - Trwało to wiele lat, ale Bóg mi sprzyjał. Byłam jedną z pierwszych wyświęconych kapłanek, a wkrótce potem Patriarcha zaprzagnął stworzyć parafię na Marsie. Zgłosiłam się na ochotniczkę - i wybrano mnie, właśnie mnie spośród wielu! Chociaż nie byłam najstarszą i najbardziej doświadczoną z kandydatów, no i w dodatku kobietą... Tu mieszkało wielu starych ludzi, bardzo ortodoksyjnych. Było ciężko, ale starałam się, jak mogłam... Sprowadziłam nawet drewno, kilka prawdziwych sosen, z których miejscowy stolarz

sporządził meble i ikonostas. Bracia z Sołówek przysłali ikony, piękne, stare malowidła. Cerkiew zaczęła żyć. Teraz co wieczór schodzą się wszyscy mieszkańcy.

- Osiągnęłaś więc sukces, matko - stwierdziłem, pełen szczerego podziwu dla jej dokonań.

- Jestem szczęśliwa i daję spokój i szczęście innym, czegoż więcej trzeba w życiu? Kiedy pomyślę, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie ten pamiętny dzień... Mam tu takie kobiety w parafii. Straciły całe rodziny w wojnie, znalazły sobie jakichś przypadkowych mężów, żeby przeżyć. Robię, co mogę, żeby im pomóc, ale... czasem jest to ponad moje siły. - Pokręciła głową. - Nie wiem, czemu Bóg wybrał właśnie mnie. Któż jednak wie, czemu On robi to, co robi? Zapewne ani pan, ani pańscy czytelnicy tego nie rozumieją, ale codziennie dziękuję Mu modlitwą za to, gdzie znalazłam się tamtego dnia.

- Hmm... - kiwnąłem ze zrozumieniem głową. Czuję się bardzo nieswojo, w pokoiku zapanowała jakaś podniosła atmosfera świętości. Gdy tylko patriarchat marsjański będzie potrzebował swojej pierwszej świętej, matka Marina będzie pierwsza w kolejce, tego byłam pewien.

Miałem już wszystko, czego potrzebowałem, zresztą, czas mijał, a popadnia musiała zacząć przygotowywać się do wieczornego nabożeństwa. Podziękowałem więc i zacząłem zbierać się do wyjścia.

Matka Guljević podeszła do szafki i wyjęła z niej coś. Podała mi to - mały, szary krzyżyk wyciosany z kawałka spękanego ze starości betonu, z brunatnymi plamami na krawędziach.

- Weź to, synu - rzekła, wciskając mi amulet w dłoń. - Ten krzyżyk wyciosałam z kamyka zabranego z Amaltei. Ścisnęłam go kurczowo przez cały tamten dzień, aż werznął mi się w dłoń. Weź to, i niech cię Pan prowadzi.

Ze znalezieniem następnego „celu” nie miałem problemu. Siedziba firmy „Leipschitz & Synowie” była najwyższym i najbardziej imponującym budynkiem w Xian Fu, drugim co do wielkości mieście planety. Założone przez pierwszą chińską wyprawę, po Azjatyckim Holocauście opustoszałe Xian Fu przeszło w ręce konfederacji i stało się centrum handlu i biznesu międzyplanetarnego. Borys Leipschitz zaś był jego najbogatszym obywatelem.

Jadąc windą na ostatnie piętro gmachu, w którym mieściła się finansowo-handlowa korporacja, jedyna chyba firma ze stałą siedzibą na Marsie, a na Ziemi mająca jedynie filie, rozmyślałem o spotkaniu z matką Mariną. Niezwykła kobieta. Niezwykłym mężczyzną musiał być też Leipschitz, skoro dorobił się praktycznie od zera takiego majątku, w trudnych warunkach powojennego Marsa. Czy to znaczyło, że przeżycia z dzieciństwa tak zmieniły ich życie, że stali się lepsi - szlachetniejsi, sprytniejsi - niż ich rówieśnicy? Przynajmniej ci, którzy przetrwali. Kamyk do ogródka nietzscheanistów: „To, co nas nie zabija...” i tak dalej. Mało odkrywcza konkluzja, ale można na niej zbudować komentarz.

Kończyłem robić notatki, gdy winda zatrzymała się i otworzyła z sykiem. Korytarz prowadzący do pojedynczych drewnianych - chyba bukowych, ale nie byłam pewien - drzwi, obłożony był lśniąca, srebrzystą materią, u moich stóp ścielił się purpurowy dywan. Nawet w Sheratonie nie było takich luksusów.

Gdy zbliżyłem się do drzwi na kilka kroków, z głośników powitało mnie metaliczne: „Witam, panie Zelig” - i wrota prywatnego gabinetu Borysa Leipschitza stanęły przede mną otworem.

Wszedłem, rozglądając się ostrożnie. W pokoju bez okien, za dębowym stołem, siedział szpakowaty mężczyzna z krótką brodą, gęstymi bokobrodami i przenikliwym spojrzeniem lśniących, czarnych oczu. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Geriatryki, pomyślałem.

- Nie dba pan zbyt o bezpieczeństwo - stwierdziłem, nie widząc żadnych kamer ani końcówek. - Nie boi się pan terrorystów?

- Och, drogi panie - roześmiał się Borys - czy myśli pan, że przechodząc korytarzem nie został pan przeskanowany wszelkimi znanymi wiązkami detekcyjnymi? Ze nie dostałem kompletnego pańskiego dossier, łącznie z danymi medycznymi? A propos, psuje się panu górna szóstka. Mogę polecić świetnego dentystę w Olympus.

- Nie, dzięki - zaśmiałem się także i usiadłem na dmuchanym fotelu, który rozwinął się przede mną z podłogi. - A więc nawet potężny Leipschitz czegoś się boi?

- Niech się pan zdecyduje - zirytował się. - Woli pan, żebym się bał, czy nie bał? Co bardziej panu pasuje do tezy? Bo przecież ma pan już jakąś tezę, prawda? Wy zawsze tak robicie.

- Miał pan złe doświadczenia z mediami?

- A kto by ich nie miał na moim stanowisku. - Machnął ręką. - Was z „Codziennej” jeszcze lubię, jesteście w miarę uczciwi, nie staracie się na każdym kroku podstawić naszym nogi... Chociaż nie podoba mi się, że liżecie dupę temu Darienowi. Jak możecie tolerować bandytę u władzy?

Wzruszyłem ramionami - nic innego nie mogłem odpowiedzieć.

- Może przejdziemy od razu do wywiadu... - bąknąłem, zбитy nieco z tropu. - Na pewno nie ma pan wiele czasu...

- Nonsens - odparł, machając ręką. Jego ruchy i całą postawę cechowała jakaś otwartość, szerokie gesty, głośny śmiech... Albo chciał coś zamaskować, albo starał się żyć pełnią życia. A może jedno i drugie. - Od czego byłbym prezesem największej firmy na planecie, gdybym nie miał tyle czasu, ile mi potrzeba? Ale dobrze, niech pan pyta. Napije się pan czegoś?

- Nad blatem pojawiła się karta drinków. Odmówiłem uprzejmie. - Dobra, jak pan chce... No więc, słucham? Chciał pan, zdaje się, porozmawiać o Amaltei... Czego jeszcze chce się pan dowiedzieć, czego nie można znaleźć w kronikach?

- W kronikach nie znajdę terazniejszości, panie Leipschitz, ani osobistych refleksji. A tego właśnie szukam. Szukam wiedzy o tym, jak wyglądało życie tych, którzy przeżyli.

- Aach... - Prezes podniósł palec w górę. - Pięćdziesiąt lat życia z koszmarem? Coś w tym rodzaju? Obawiam się, że się pan zawiedzie. Nie wydaje mi się, żeby fakt przeżycia zbiorowego mordu zaważył w jakiś szczególnie sposób na moich losach, może poza banalnym stwierdzeniem, że żyję, choć nie musiałem... Nie stałem się psychopatą, ani nawet nie mam nerwicy. Śpię spokojnie, nie potrzebuję psychiatry.

- Ale jednak - odparłem, wskazując na pokój i otoczenie - stał się pan najbardziej wpływową figurą Marsa, najbogatszym człowiekiem... Czy naprawdę miałby pan to wszystko, gdyby nie wojna i Amaltea?

Spojrzał na mnie uważniej i po raz pierwszy od początku rozmowy, spoważniał. Jego spojrzenie było z gatunku tych, które przewiercają człowieka na wskroś. Odchylił się nieco do tyłu i obejrzał mnie dokładnie.

- Bystry jesteś, panie Zelig... ale nie wystarczająco bystry. Nie, nie masz racji. Wojna mnie nie zmieniła, tylko pozwoliła rozwinąć te cechy, które posiadałem już wcześniej. Niech pan sobie przypomni, jak wyostałem się z obozu tamtej feralnej nocy - łgarstwem, przekupstwem, sprytem... A w końcu, kiedy zaczęło się piekło i wszyscy dookoła biegali, krzyczeli - i ginęli - sam musiałem przekopać się przez ogrodzenie. Nie, gdybym nie był tym, kim jestem, kim zawsze byłem - nie wyszedłbym stamtąd żywy.

Coś mi nie pasowało w tej wypowiedzi.

- Powiedział pan - tamtej nocy? Wydawało mi się, że mordu dokonano w biały dzień, w południe...

Prezes Leipschitz zamyślił się.

- Jest pan pewien? To dziwne, głowę bym dał, że uciekałem w nocy... No, ale to było pół wieku temu, coś mogło mi się pomylić. No, sam pan widzi, jak niewielką wagę przywiązuję do tych wydarzeń, nawet nie pamiętam czy było jasno, czy ciemno. - Zaśmiał się oschle, śmiech przeszedł w krótki, urywany kaszel. - Cholerny marsjański pył... Jak ja nie znoszę tej planety. Jeszcze pięć lat i lecę na orbitę, wreszcie odpocząć.

- I twierdzi pan - drażyłem - że tamten dzień... czy też tamta noc, jak pan woli, niczego pana nie nauczyły? Niczego nie dały?

Odpowiedziała mi cisza. Leipschitz przygryzł dolną wargę, wreszcie nachylił się nad biurkiem i rzekł cicho, konfidencjonalnie, ale wyraźnie:

- Nauczyłem się, że życie samo w sobie jest nic niewarte, jeżeli nie jest przeżyte dobrze. Kiedy coś mi się nie udawało i chciałem zrezygnować, zawsze przypominałem sobie strzały i krzyki spod Amaltei i myślałem sobie: jeśli teraz się poddam, to zmarnuję daną mi szansę. Zawsze starałem się, jak mogłem najlepiej, właśnie ze względu na wspomnienie tamtej nocy. Pan to rozumie, prawda?

Przytaknąłem. Nie tylko rozumiałem, ale właśnie czegoś takiego się spodziewałem, wędrując po srebrnych korytarzach monumentalnego gmachu.

- Można więc powiedzieć, że u źródła pańskiego powodzenia leży koszmar Amaltei?

- Nie, nie można - zachnął się Leipschitz. - U źródeł mojego sukcesu leżą: mój talent finansowy, spryt, charyzma i inteligencja. Oraz przesłanie, jakie wyciągnąłem z dzieciństwa - żyć dobrze. To ważniejsze niż żyć w ogóle. Jeśli pan tego nie napisze, to nie autoryzuję wywiadu.

- Dobrze już, dobrze - uspokoiłem go. - Będzie, jak pan zechce. To też jest dobry tekst.

- No, widzi pan. Za to właśnie was lubię - można się z wami dogadać. Może jednak kieliszeczek ?

Od Leipschitza wyszedłem z bólem głowy i bałaganem na dysku. Przez parę godzin opowiadał mi o zawiłych kolejach swojego żywota, o wzlotach i upadkach, o wyboistej drodze do pieniędzy i sukcesu, a na końcu przegrał - bez pytania - całe megabajty folderów i filmów reklamowych różnych swoich firm. Nawet po wstępnym przepuszczeniu przez selektor zostało tego tyle, że mógłbym napisać cały cykl artykułów o Borysie Leipschitzu i jego korporacji. Może kiedy indziej. Odłożyłem przeglądanie materiałów na później i spróbowałem skontaktować się z trzecią, ostatnią na mojej liście, osobą.



Siran Doleanu był historykiem. Zajmował się - rzecz jasna - historią Marsa. W swojej dziedzinie był uważany za najwyższy autorytet. Doktoratami honoris causa mógłby sobie wytapetować mieszkanie. Wielokrotnie nagradzany przez ziemskie instytuty badawcze.

Po przejrzeniu tych informacji stwierdziłem, że jeśli ktoś jeszcze chciałby mnie przekonać, iż masakrę pod Amalteą przeżyły jednostki przeciętne, to miałby marne szanse. Ciekaw byłem, jakie będzie jego przesłanie - co powie mi o życiu, swoim i życiu w ogóle, wybitny uczonek, humanista?

Miałem szczęście, złapałem profesora Doleanu w Dolinie Muminków, małej wiosce jakieś sześćdziesiąt mil od Olympus. Ktoś, kto nadał nazwę temu miejscu, musiał mieć wyjątkowo wyrafinowane poczucie humoru. Wioska nie tylko leżała na wysokim garbie, wznoszącym się z południowej grani wielkiego wulkanu, na który lotobus wznosił się ociążale po niekończącej się, wąskiej serpentynie, ale też znajdowała się w chyba najgorszym otoczeniu, jakie można sobie wyobrazić na Marsie. Wokół pełno było brudno rudych i brudnoszarych, spękanych skał, porośniętych jedynie białawymi glonami, przez co wyglądały jakby zanieczyściły je stada gołębi, oraz wyprysków czarnego bazaltu, które na różowej glebie nieodparcie kojarzyły się z wągrami albo przyszczami. Przez większość dnia nisko o tej porze roku wiszące słońce kryło się za innymi wyniesieniami i mniejszymi kraterami, otaczającymi zewsząd Dolinę - może stąd wzięła się nazwa? - w związku z czym miejsce to stawało się jeszcze bardziej ponure.

Lotobus był prawie pusty. Z tego, co dowiedziałem się od pasażerów, bardziej zatłoczone były pojazdy jadące w drugą stronę - z powrotem do Olympus. Dolina Muminków powoli wyludniała się, i trudno było się temu dziwić. W dodatku pobliskie jaskinie obrali sobie za siedzibę lokalni partyzanci, nękający miejscową ludność napadami i, jak to nazywali, „rekwizycjami”.

Dojechalśmy na miejsce. Wioska była niewielka, najwyżej sto gospodarstw, z czego większość była już dawno opuszczona. Wymarła osada wśród skał i nieczynnych wulkanów - idealna sceneria do jakiegoś taniego horroru. Włączyłem rejestrator i zrobiłem parę panoram okolicy, po czym udałem się do miejsca, w którym umówiłem się z historykiem, czyli domu lokalnego władcy - wójta czy sołtysa, czy jak tam kazał siebie nazywać. Doleanu mieszkał u niego w wynajętym pokoju.

Przywitał mnie stereotypowy naukowiec - starszy pan, o smągłej skórze, siwiejących kręconych włosach, z czarną bródką i w drucianych okularach, oczywiście bez szkieł, w przedpotopowym popielatym garniturze. Słyszałem, że u historyków modne były ostatnio takie przebieranki. Powiadali, że w ten sposób „lepiej czują ducha epoki”, którą badają. Niech im będzie...

- Profesorze - zacząłem, gdy tylko weszliśmy do środka i usiedliśmy naprzeciw siebie na małych, wygodnych fotelikach, a naukowiec wyjął odlewaną fajkę i zapalił ją pstryknięciem - zanim zadam przygotowane pytania, proszę zaspokoić moją ciekawość: co pan robi w tak... - szukałem jakiegoś łagodnego określenia, ale żadne nie przychodziło mi do głowy - okropnym miejscu?

- Przyjechałem tu znaleźć odpowiedź na to samo pytanie - uśmiechnął się, pykając - co robią tutaj ci wszyscy ludzie? Na Marsie są miliardy hektarów zterraformowanej, gotowej do zasiedlenia ziemi, a tutaj, sam pan widział, zamieszkało kilkadziesiąt rodzin. Po co? Teraz zresztą ich potomkowie Wyprowadzają się masowo, nie mogąc znieść otoczenia. Za kilka lat nikogo tu nie będzie.

- I dowiedział się pan czegoś?

- Sporo. - Kiwnął głową. - W początkach kolonizacji jedno z państw, późniejszych członków Konfederacji, chciało przekształcić Marsa w kolonię karną. Tutaj - machnął ręką wokół - był jeden z pierwszych posterunków, dla strażników i ich rodzin. Oczywiście nic z tego nie wyszło - wysokie koszty, protesty, i tak dalej. Ale osada została. W końcu zupełnie o niej zapomniano.

- A ta nazwa? Wzruszył ramionami.

- Na początku to się nazywało Posterunek 03D, obecna nazwa powstała dużo później. Nie wiem, skąd się wzięła i nie sądzę, żebym się kiedyś dowiedział.

Doleanu pociągnął z fajki. Układając w myślach następne pytanie, spojrzałem przez okno - po drugiej stronie ulicy, na podwórku rozpadającej się rudery, rosła sterta śmieci i połamanych mebli, wynoszonych z domu przez całą rodzinę.

- Przejdźmy do właściwego wywiadu - powiedziałem wreszcie i przedstawiłem mu temat reportażu. Pokiwał z uznaniem głową.

- Ciekawy pomysł, bliski mojej dziedzinie. Szkoda, że nie zawiadomił mnie pan wcześniej, przygotowałbym się lepiej, ale proszę, postaram się udzielić dokładnych odpowiedzi.

- Dobrze... Chciałem najpierw zapytać, czy wybór pańskiej drogi życiowej, zainteresowań, wiąże się jakoś z przeżyciami tamtego pamiętnego dnia? Czy stało się wtedy coś, co zdecydowało o tym, kim pan teraz jest, czym się zajmuje?

Chwila zamyślenia, obejrzał fajkę z zewnątrz i od środka, pociągnął mocno, nim wreszcie odpowiedział:

- Trafiał pan, redaktorze. Jest dokładnie tak, jak pan mówi. Wszystko zaczęło się od Amaltei. Pomyślałem sobie bowiem wtedy, że najważniejsze i jedyne, co mogę zrobić, to przeżyć ten dzień, aby potem dawać świadectwo prawdzie. Zrozumiałem, że jedyną istotną wartością w życiu człowieka jest prawda, bez niej nic na dłuższą metę nie ma sensu. Miałem wtedy dwanaście lat... To bardzo wczesny wiek na podejmowanie tak ważnych decyzji, ale przecież wtedy wszyscy dojrzewaliśmy szybko, jak to na wojnie... Kiedy innych ogarnęło zwątpienie albo panika, ja, jak pan wie, postanowiłem przeżyć za wszelką cenę. Zagrzebałem się w obozowej latrynie. Myślałem, że i tam śmierć mnie dopadnie, ale nie z ręki bandytów, tylko od gazu i smrodu. Ale nie. Przetrwałem. Tak to się zaczęło.

Przygryzł ustnik, ale nie pociągnął tym razem. Spojrzał na leżący na łóżku laptop.

- W tym terminalu - wskazał komputer - noszę wszystkie swoje książki, artykuły, filmy... Jest tego sporo, muszę przyznać. Zjeździłem całego Marsa wzdłuż i wszerz. Nie ma tam, o ile wiem, ani jednego słowa, które byłoby nieprawdą. To właśnie jest moje życie - służyć prawdzie i dawać jej świadectwo wszędzie, gdzie się da. Wie pan zapewne o tym, co spotkało jednego z nas, Christiansena? Biedny człowiek. - Pokręcił litościwie głową. - Ztracił się w stworzonej przez siebie iluzji. Kiedyś, parę lat temu, spotkaliśmy się przypadkiem na jakimś kongresie, kiedy jeszcze ruszał się z tej swojej faszystowskiej miściny. Nie uwierzy pan, ale usiłował przekonać mnie, że to on ma rację! Tak jakbym nie był tam razem z nim, nie pamiętał... Smutne. Rozmawiał pan z nim już może?

- Niestety, nie chciał się ze mną widzieć. Ludzie tacy jak on niezbyt lubią naszą gazetę, rozumie pan.

- Tak, tak, oczywiście... No cóż, nie mówmy o tym więcej, wspomnianie Christiansena zawsze psuje mi humor. Jakie jest pana następne pytanie?

Ruch za oknem zwrócił moją uwagę. Stos usypany na sąsiednim podwórku nagle zapłonął - jak wszystko w przetlenionej atmosferze Marsa - jasnym, żywym ogniem. Rodzina stała wokół. Nie widziałem dokładnie, ale chyba płakali.

- Uhm... co oni robią? - spytałem, nie mogąc powstrzymać ciekawości. Profesor wyjrzał przez okno.

- Hm, następni sobie idą - mruknął. - To tutaj częsty widok. Ta rodzina wyprowadza się, a nie stać ich na transport całego dobytku, więc to, czego nie zdołają unieść, palą, żeby nie wpadło w ręce bandytów i partyzantów. Odjadą jutro, najbliższym lotobusem, zapewne razem z nami.

- Jutro? - zdziwiłem się. - Z nami?

- Nie wiedział pan, że lotobus kursuje tylko raz dziennie? - zdziwił się z kolei profesor. - Będzie pan musiał znaleźć sobie nocleg, spytam wójta, może coś załatwi... Skończyłem tutaj badania i jutro wyjeżdżam do Olympus, tak więc wyruszamy w drogę razem.

Moja rozmowa z profesorem Doleanu trwała do późnej nocy. Był fascynującym człowiekiem, przypominał mi nieco mojego tutora ze szkoły, który sprawił, że zainteresowałem się historią. Wkrótce przestaliśmy mówić o Amaltei, przeszliśmy na inne wydarzenia z wojny, a potem na historię w ogóle. To był bardzo pouczający wieczór.

W południe wsiedliśmy do lotobusa. Razem z nami jechało kilka rodzin z wyładowanymi tobołami, łącznie z sąsiadami wójta, zgodnie z przewidywaniami profesora. Kiedy ruszyliśmy, podszedłem do nich z włączoną rejestracją.

- Dlaczego opuszczają państwo Dolinę? - spytałem z profesjonalną miną. Zdziwili się trochę, ale po chwili konsternacji przemówił ojciec rodziny.

- Wioska nie ma przyszłości. Mówili nam, że na wulkanie będzie dobra gleba, ale miną lata, zanim ta skała zmieni się w glebę... Może gdyby władze w Olympus się nami zainteresowały, byłoby szybciej, ale kto by tam zajmował się kawałkiem skały...

- Prosił o pomoc, jakąś dotację do maszyn i nawozów - wtrąciła się żona - ale powiedzieli nam, że teraz jest wielka kampania formingowa na zachodnim zboczu i żebyśmy zgłosili się za dwa lata. No to spakowaliśmy manatki i jedziemy na zachód.

- Najgorsi są partyzanci! - zawołał ktoś z tyłu wozu. - Nikt nic nie chce zrobić w tej sprawie, a to przecież skandal - sześćdziesiąt mil od stolicy człowiek nie może spokojnie wyjść z domu!

Jeszcze przez parę minut zbierałem materiał, rozmowa przerodziła się w burzliwą dyskusję. Po pewnym czasie, jak to zwykle bywa, rodziny zaczęły kłócić się między sobą, przestały natomiast zwracać uwagę na mnie; wycofałem się dyskretnie na swoje miejsce.

Chciałem spytać profesora, jak to jest z tą tutejszą partyzantką, ale nagle pojazdem szarpnęło, od strony przedniej szyby posypały się kule, lotobus stanął. Wszyscy padliśmy na ziemię. Spojrzałem na kierowcę - leżał na desce rozdzielczej w kałuży krwi, ranny albo martwy.

Ktoś strzelił w drzwi i otworzył je kopnięciem. Do środka wpadł brodaty guerillero w brudnym, szarym mundurze. Strzelił w powietrze z prymitywnej broni maszynowej, takiej samej używano chyba w czasie wojny marsjańskiej...

- Jesteście porwani przez Prawdziwą Armię Marsjańskich Lojalistów! Udacie się z nami do kwatery, gdzie będziecie zakładnikami. Wstawać i wychodzić!

RMLA. Idiotyczni fanatycy, którzy nigdy nie pogodzili się z rozwiązaniem MLA i niepodległością Marsa. W pierwszych latach po wojnie siedzieli cicho, ale z biegiem lat, w miarę jak na Ziemi zapomniano dawne dzieje, a kombatanci z MLA zaczęli być uważani za bohaterów, odrodzili się. Ostatnio, po wyborach wygranych przez prezydenta Dariena, terroryści i partyzanci marsjańscy poczuli się wyjątkowo silni. Niektórzy politycy marsjańscy zaczęli przebąkiwać o wprowadzeniu stanu wyjątkowego.

To było moje pierwsze porwanie, ale nie przejmowałem się zbytnio. Nie sądziłem, by partyzanci posunęli się do czegoś, co mogłoby popsuć ich międzynarodowy image (jeśli mieli jakikolwiek) - dobrze pamiętali lekcję Amaltei. A po drugie, w każdej chwili mogłem uruchomić wszczepiony pod skórę dłoni nadajnik alarmowy i wezwać pomoc.

Zaprowadzili nas do jaskini przebudowanej na wygodną, choć ciasną salę, i zabrali się na naszych oczach do przeszukiwania bagaży. Największe zainteresowanie, poza plecakiem pełnym prowiantu, który wiozła jedna z rodzin, wzbudziła moja torba.

- Ej, patrzcie, kogo my tu mamy! - zawołał brodaty (wszyscy byli brodaci, było to chyba dla nich jakimś fetyszem) partyzant, podnosząc do góry moją legitymację. - Pismak z „Codziennej”!

- Który to? Pokaż zdjęcie. Aaa... - Jeden z przeszukujących odwrócił się w moją stronę z dziwnym uśmiechem i sięgnął do noża, przypiętego przy pasie.

- Zostaw go - powstrzymał go pierwszy. - Powiemy szefowi, on będzie wiedział, co z nim zrobić.

Odeszli, zostawiając nas samych.

- Jak pan myśli - spytałem profesora - czego oni mogą ode mnie chcieć?

- Hmm... jest pan cennym jeńcem, na pewno nie zrobią panu krzywdy... Zapewne zechcą, aby podpisał pan jakieś oświadczenie, albo wygłosił popierające ich przemówienie. Bardzo potrzebują takich rzeczy, żeby wypaść wiarygodnie.

Czy oni myślą, że zgodzę się na coś takiego? - zdziwiłem się.

- Mają swoje sposoby... Widziałem już parę takich filmów, wymuszonych groźbą... albo prośbą. Niech pan nie da się nabrać na te brody i stare karabiny, oni dostają naprawdę spore pieniądze. Z Ziemi.

Siedzieliśmy w ciszy, pilnowani przez jednego uzbrojonego strażnika. Dzieci pochlipywały, jakaś kobieta szlochała. Zaczynało się robić chłodno.

- Niech pan pamięta, o czym mówiłem wczoraj - odezwał się Doleanu. - Proszę o tym pamiętać.

Kiwnąłem głową. Byłem całkowicie spokojny o swój los, mogłem więc sobie pozwolić na luksus bronięcia prawdy, czego najwyraźniej wymagał ode mnie historyk.

W końcu przyszło po mnie dwóch kolejnych brodaczy i zabrali mnie długim, krętym i często rozwidlającym się, wykutym w bazalcie korytarzem, do ciemnego pomieszczenia, gdzie już przygotowany był rejestrator i projektory, i gdzie czekał na mnie niski facet z twarzą pokrytą trzydniową szczecią - bez brody! - i o spojrzeniu latynoskiego kochanka.

- Siadajcie, redaktorze - wskazał łaskawie fotel stojący przy niskim, metalowym stole, przykrytym pomarańczową tkaniną. Machnął ręką na strażników, którzy zostawili nas samych.

- Przyzna pan, że dopisało nam wyjątkowe szczęście - stwierdził, siadając niedbale na blacie stołu. - Przyda nam się pan, jeżeli tylko zechce współpracować. A zechce pan, prawda?

- Skąd wam to przyszło do głowy? - zachnąłem się. - Jestem wolnym dziennikarzem, obywatelem Konfederacji, i jeśli myślicie, że pójdę na współpracę z bandytami...

- Ależ, drogi panie - zaprotestował partyzant, którego zacząłem w myślach nazywać komendantem - my? Bandyci? My także jesteśmy obywatelami Konfederacji. Myśli pan, że skąd mielibyśmy fundusze na naszą działalność? Ziemia nas popiera, na razie skrycie, ale niedługo... Dobrze zrobiłoby waszej karierze, gdyby już teraz się pan z nami związał. Wkrótce okaże się, kto naprawdę rządzi Marszem.

- Pozwoli pan, że sam będę wybierał swoje sojusze. Przede wszystkim, nie przyjaźnię się z kłamcami.

Komendant podniósł ręce do góry w wyrazie udawanego oburzenia.

- Kłamcy? My? Redaktorze! Pan jeszcze nawet nie wie, czego byśmy chcieli, a już oskarża o kłamstwo? Może jednak zechce pan chociaż przeczytać. - Podsunął mi pod nos kartkę. - To skromne oświadczenie, nie ma w nim ani słowa nieprawdy, zapewniam.

Wzruszyłem ramionami - przeczytać nigdy nie zaszkodzi. Obejrzałem kartkę.

- Mam przyznać, że Amaltea była oszustwem? - rzekłem, odsuwając z niesmakiem papier. - Chyba sobie żartujecie. Kto wam w to uwierzy?

Zrobił chytrą minę.

- Nie ma pan pojęcia, jak wielu już uwierzyło. A dzięki poparciu takich ludzi jak pan, prawdziwych autorytetów, uwierzą inni. Racja jest po naszej stronie. Jeszcze pan tego nie widzi, ale ufam w pańską inteligencję.

- Pochlebiamy mi pan, komendancie - zaryzykowałem użycie tytułu. Po zadowoleniu, jakie pojawiło się na jego twarzy, poznałem, że trafiłem. - Ale nie sądzę, bym miał aż taki autorytet. Jestem tylko początkującym reporterem...

- Och, pan jest zbyt skromny. Z naszym poparciem zajdzie pan daleko. No, niech pan nie będzie dzieckiem. My potrzebujemy waszej gazety, wy potrzebujecie wsparcia prezydenta Dariena. To transakcja wiązana, z której panu skapnie coś osobiście.

- Dostyc tego! - zdenerwowałem się. Traciłem tu czas, ta rozmowa nie miała sensu. - Żądam, aby mnie wypuszczono i odstawiono do ambasady Konfederacji! Jestem wolnym obywatelem i znam swoje prawa!

Komendant westchnął i pokręcił z dezaprobatą głową.

- Ech... myślałem, że z was, dziennikarzy, rozsądni ludzie... No cóż, próbowałem po dobroci, próbowałem przekupstwa... zostało mi tylko jedno wyjście. Gustaw! - zawołał.

W drzwiach stanął dwumetrowy drab, typowy osiłek od brudnej roboty. Zadrzałem mimowolnie. Gdy do mnie podchodził, dyskretnie wcisnąłem guzik nadajnika alarmowego. Mogłem mieć tylko nadzieję, że działa i że ktoś odpowiednio szybko zareaguje na wezwanie.

Bili fachowo, nie zostawiając śladów. Nie chcieli, żebym źle wypadł przed kamerą. Po serii ciosów w nerki straciłem przytomność. Obudziłem się w ciemnej celi, na kamiennej podłodze. Miałem wrażenie, że boli mnie nawet kiedy mrugam. Starałem się ruszać jak najmniej, ale i tak każde drgnienie mięśni odczuwałem jak kolejne uderzenie.

Byłem tak zaskoczony, że nawet nie zdążyłem się załamać. Nie sądziłem, że ich działania będą aż tak radykalne. Co chcieli osiągnąć? Przecież oczywiste było, że gdyby nawet zmusili mnie do jakiegoś fałszywego zeznania, zaraz po powrocie na Ziemię wszystkiemu bym zaprzeczył. No, tak - zrozumiałem po chwili - ale ludzie, którzy oglądają ich filmy i broszurki, rzadko interesują się tym, co ukazuje się w „Codziennej” i innych „normalnych” mediach. Mógłbym sobie protestować do woli, zamieszania w głowach czytelników nie dałoby się już zneutralizować.

Pokonując ból, podniosłem do oczu lewą dłoń. Była pogruchotana kilkoma uderzeniami pałki, spod skóry wystawały kabelki nadajnika. Oby tylko sygnał dotarł, gdzie trzeba... Poczułem klucie w prawej.

Trzymałem ją w kieszeni. Wyjąłem i otworzyłem zaciśniętą pięść - ścisnąłem w niej kamienny krzyżyk otrzymany od matki Mariny. Zorientowałem się, że trzymałem go kurczowo przez cały czas przesłuchania, aż werznął mi się w skórę...

Leżąc tak, nie wiem jak długo, w ciemności, miałem dużo czasu na zastanawianie się nad sobą. Dotarło do mnie wtedy, jak bardzo odmieniły mnie ostatnie dni. Te kilka rozmów, które przeprowadziłem, okazały się dla mnie ważne nie tylko z powodu reportażu. Spotkałem troje niezwykle ludzi, z których każde miało swoje własne, niezwykle podejście do życia. Musiałem postarać się przekazać moim czytelnikom chociaż część niesamowitego wrażenia, jakie na mnie wywarli. Jeśli w ogóle miałem jeszcze coś napisać...

Przemianę poczułem najsilniej w momencie, kiedy dotarło do mnie, że mogę umrzeć. Zastanawiałem się, jak daleko posunie się komendant w „przekonywaniu” mnie do swoich racji. Czy gdyby zagroził mi otwarcie śmiercią - ustąpiłbym?

Jeszcze tydzień temu - z pewnością. Byłem w końcu tylko zwykłym reporterem codziennej netzety, a nie jakimś herosem ducha. Ale teraz... coś się zmieniło. Odebrałem przesłanie dzieci z Amaltei - życie nie jest najważniejsze. Można je poświęcić, jeśli tylko ma się konkretny cel.

Przyszli po mnie i zabrali z powrotem do pomieszczenia z kamerami.

- I jak? Zmądrzeliśmy? - zagadnął wesoło komendant. Nie odpowiedziałem.

Zapadła kłopotliwa cisza. Komendant westchnął i wymierzył mi policzek, potem drugi, aż mi zadzwoniło w uszach. Twardą miał rękę. Splunąłem mu pod nogi.

Kilka godzin później wrzucili mnie półprzytomnego do sali, gdzie przetrzymywali resztę porwanych. Tym razem nie starali się o estetykę, bili gdzie i jak popadło. Dowlokłem się do ściany i położyłem obok siedzącego pod nią profesora.

Jakaś kobieta podeszła do mnie i zaczęła opatrywać rany. Syczałem i gryzłem wargi do krwi, ale w końcu mi ulżyło.

- Dziękuję - zdołałem tylko wyszeptać.

- Byłam sanitariuszką. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Zostawili nam trochę bandażu i lekarstw, bo mąż jest chory.

Doleanu milczał. Widziałem tylko, że przyglądał mi się uważnie, ssąc z przyzwyczajenia ustnik pustej fajki. Widok ten był ostatnim, jaki zapamiętałem, nim osunąłem się w ciemność.

Marsjańskie siły bezpieczeństwa dotarły do nas kilka godzin później. Potyczka trwała tylko kilka minut, partyzanci zostali rozbici i wyłapani co do jednego. Muszę przyznać, że skuteczność komandosów wzbudziła we mnie podziw, nie spodziewałem się czegoś takiego.

Tak naprawdę dowiedziałem się o wszystkim dopiero następnego dnia, z zety, którą czytałem w szpitalu w Olympus. Po wysłaniu szefowi policji listu pochwalnego, spytałem lekarza, kiedy spodziewa się mnie wypuścić.

- Nie jest źle - odparł. - Za dzień, dwa, wróci pan do hotelu, tam powinien pan jeszcze odpoczywać przez kilka dni... Nie ma, na szczęście, żadnych złamań, tylko sińce i stłuczenia. Trochę bałem się o stan nerek, ale nie, też są w porządku.

Opadłem na poduszki i zasnąłem. Kiedy się obudziłem, pielęgniarka poinformowała mnie, że mam gościa.

- Profesor Doleanu! - ucieszyłem się na widok wchodzącego historyka. - Jak miło, że pan wpadł!

Pielęgniarka podstawiła mu krzesło i stała tak przez chwilę, wahając się, póki gestem nie dałem jej znać, że wszystko w porządku i może zostawić nas samych.

- Jak kości, redaktorze? - spytał naukowiec.

- Dziękuję, w porządku. Może już jutro mnie wypuszczą. Pokiwał głową. Zauważyłem, że ciężko się nad czymś zastanawia, wpatrując się w okno, wychodzące na plastikowe dachy południowego Olympus. Przez chwilę jego ręka zawisła w pobliżu kieszonki, w której trzymał fajkę, ale przypomniał sobie, że w szpitalu nie wolno palić.

- Czy ma pan tutaj rejestrator?

- Nie, ale w każdej chwili mogę o niego poprosić...

- Nie, nie - zaprotestował. - To, co teraz powiem, nie powinno wyjść poza nas dwóch. To... będzie trudne wyznanie. Proszę, niech pan nie przerywa i nie dziwi się niczemu, dopóki nie skończę.

Wstał i podszedł do okna, tak że widziałem tylko cień jego sylwetki w świetle zachodzącego powoli słońca. Stojąc ze spuszczoną głową, zaczął mówić, najpierw tak cicho, że pierwsze słowa zagłuszył szum pracujących urządzeń, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie go usłyszałem.

- ...zwieziono nas z kilku sąsiednich obozów. Ten pod Amalteją był od paru tygodni opuszczony, nie było tam już żadnych strażników Konfederacji, żadnych jeńców, tylko puste baraki i ogrodzenie z betonowych słupów.

Trzymali nas tam przez kilka tygodni. Przez pierwsze dni karmili i utrzymywali nas dobrze, ale potem dawali tylko minimalne porcje - chcieli, żebyśmy wyglądali na wygłodzonych.

Przez wiele dni jedyne, co kazano nam robić, to uczyć się naszych opowieści. Każde z nas miało przygotowaną rolę, każde musiało zapamiętać tę historię nieco inaczej. Używali wszelkich środków, aby nas tego nauczyć, łącznie z mnemohipnozą i innymi zakazanymi technikami.

W końcu któregoś dnia przyjechało kilka ciężarówek. Były wypełnione rozkładającymi się ciałami i kośćmi, kośćmi dzieci. Żołnierze wykopali wielki dół i wsypano do niego te kości. Były bardzo dobrze spreparowane, tak, aby wyglądały na leżące w ziemi dokładnie tyle czasu, ile było trzeba.

Te szczątki zwieziono z innych obozów, z grobów, ze spalonych osiedli... wojna dostarcza takiego surowca w dowolnej ilości.

Potem kilka dni pracowała specjalna ekipa... Nazywałem ich „scenografami”. Plamy krwi, dziury po kulach, ślady walki, tego typu sprawy. Lubiłem ich obserwować, byli niezwykle precyzyjni, układali nawet ziemię na placu tak, aby potem po śladach można było odtworzyć przebieg wydarzeń. Pod bramą rozłożyli strzępy mundurów - jak pan wie, Komisja nigdy nie dowiedziała się, co stało się ze strażnikami pilnującymi obozu. Oczywiście, żadnych strażników nie było, były tylko plamy krwi na ogrodzeniu...

Upewniwszy się, że cała nasza jedenastka dobrze odegra zadane role, zostawili nas na kilka dni samych. W końcu do obozu przyjechała czwartą brygada zmotoryzowana, która nas „odnalazła” i zawiadomiła świat. Resztę pan zna...

Doleanu odwrócił się. Pod światło nie widziałem jego twarzy, widziałem tylko, jak ramiona unoszą się w ciężkim westchnieniu. Mówił dalej.

- To było propagandowe arcydzieło. Wszystkim zawiadował osobiście Salieri. Pamięta go pan? Na Ziemi nazywaliście go „Goebbelsem Rebelii”, ale to był wielki człowiek... Kiedyś się z nim spotkałem, to od

niego dowiedziałem się szczegółów operacji. Obmyślił masakrę pod Amalteą tak, aby wieść o niej wstrząsnęła każdym obywatelem Konfederacji. Przede wszystkim, ofiarami musiały być dzieci, to chyba jasne. Dużo dzieci, biednych, niewinnych, wychudzonych istotek, które każdy chciałby przytulić i ochronić... ale to nie wystarczyło. Czy nigdy nie zwróciło pana uwagi, jakie to były dzieci? Nasza jedenastka nie została dobrana przypadkiem, nie... Salieri posłużył się najpotężniejszą bronią propagandy - stereotypem. Każda historia była wymyślona dla konkretnego dziecka, uwydatniając i podkreślając stereotyp związany z jego wyglądem, pochodzeniem... Proszę zajrzeć do notatek. Słodki, aryjski blondynek urzeka oprawców i darują mu życie.

Pobożną Słowiankę ratuje cud Boży. Cwany Żydek zawdzięcza ocalenie swojemu sprytowi i przebiegłości. A brudny Cygan... - Tu jego głos zmienił ton z monotonnego, bezosobowego, na zacięty i wściekły. Drugą część zdania wręcz wypluł przez zaciśnięte zęby: - ...Chowa się w gównie, żeby przeżyć! Tak! Czemu nie? Coś dla każdego. To przemawiało do ludzi. To było jasne i zrozumiałe. Majstersztyk, jak już mówiłem.

Podniósł głowę, odetchnął, uspokoił się. Spojrzałem na jego dłonie - palce zaciśnięte na parapecie, drżące.

- Świat musiał się przecież dowiedzieć o tym, jakich metod używała MLA, i musiał zawołać jednym, oburzonym głosem: stop! I tak się stało. Salieri odniósł pełen sukces. Komisja Śledcza Konfederacji odkryła kolejne masowe groby, tym razem już prawdziwe, ale nigdy więcej nie trafiła na nic tak spektakularnego i tak wstrząsającego, jak pod Amalteą. Amaltea przeszła do historii, a czy ktokolwiek słyszał o takich miejscach, jak Sikharu? Jak Munch? A groby bez nazwy, mające tylko numery porządkowe, łamane przez liczbę znalezionych ciał - Dwanaście/Dwadzieścia Osiem, Trzydzieści Sześć/Pięćdziesiąt Dwa?

Nie, ludzie pamiętają tylko Amalteę. Tylko te siedemdziesiąt kilka szkieletów, zebranych z całego Marsa przez ekipę Salierogo.

Skończył. Zapadła długa, głucha, dzwoniąca w uszach cisza. Nie słyszałem nawet szumu i pikania stojącej przy łóżku maszinerii. Czułem za to pulsowanie krwi w skroniach, słyszałem głośnie bicie serca.

Profesor odszedł od okna i wrócił na krzesło. Teraz, w świetle jarzeniówki, widziałem ślady łez na jego smagłej, romskiej twarzy.

- Dlaczego mi pan to mówi? - spytałem wreszcie.

- W starych baśniach, w legendach o upiorach i widmach - odrzekł bez zastanowienia, jakby miał tę odpowiedź od dawna przygotowaną - powtarza się pewien motyw. Potępiona dusza musi wyznać swoje grzechy śmiertelnikowi, aby doznać odkupienia. Ale czasem to za mało. Czasem śmiertelnik musi wziąć grzech upiora na swoje barki, musi przejąć jego brzemię, by duch przestał nękać okolice.

Dzisiaj żyje mniej niż połowa z nas. Reszta, jak sądzę, nie wytrzymała w końcu presji wewnętrznej i nie mogąc zdradzić nikomu swej tajemnicy, wołała odebrać sobie życie. Tylko Christiansen złamał tabu, choć trudno mi sobie wyobrazić, jak wiele musiało go to kosztować - a w końcu i tak spotkał go los Kassandry. Chyba nawet ci, którzy go cytują i zapraszają na konferencje, traktują go jedynie jako starego wariata, którego szaleństwa są im na rękę.

Jeśli nie ma się nią z kim podzielić, ta wiedza w końcu zabija. Marina ma zapewne swego spowiednika, Leipschitza stać na najlepszego psychologa, który pomaga mu dojść ze sobą do ładu, ale ja... Jest pan pierwszą osobą, która słyszy tę historię.

- Dlaczego właśnie ja?

- Obserwowałem pana przez te dwa dni, nie tylko pańską postawę u partyzantów, choć była niewątpliwie godna podziwu, ale i to, co i jak mówił pan poprzedniego wieczoru. W nocy sprawdziłem jeszcze archiwa „Codziennej” i przejrzałem pańskie artykuły. Uznałem, że jest pan najwłaściwszym człowiekiem, jakiego miałbym okazję spotkać.

- I wierzy pan, profesorze, że tajemnica Amaltei będzie u mnie bezpieczna?

- Jestem tego pewien, Zelig. Właśnie dlatego zdecydowałem się nią podzielić. Wiem, że nigdy pan tego nie napisze, nigdy tego nie powie. Jest pan na to zbyt rozsądny.

- A prawda? - spytałem. - Co teraz z pańską prawdą, gdzie ona jest? Sam pan mówił, że jest ważniejsza niż życie. Ta myśl towarzyszyła mi u partyzantów, ta myśl sprawiła, że się nie załamałem!

- Nadal tak twierdzą. - Skinął głową. - Ale temu zdaniu brakuje drugiej części. Prawda jest ważniejsza niż życie - ale są rzeczy, które są ważniejsze od prawdy.

- Nachylił się nade mną. Widziałem już gdzieś ten gest - tak nachylał się prezes Leipschitz, kiedy chciał powiedzieć coś naprawdę ważnego. Tak nachylała się matka Marina, mówiąc o Najświętszej Paniencie.

- Proszę sobie wyobrazić konsekwencje ujawnienia całej prawdy o Amaltei. Teraz, w tym momencie historii. Co się dzieje? Wielki skandal. Prezydent Darien triumfuje. Widział pan naszych partyzantów - teraz nagle okazuje się, że to oni stoją po słusznej stronie. Wielkie fundusze płyną do RMLA, armia rośnie w siłę, rząd w Olympus ogłasza stan wyjątkowy i mamy drugą wojnę marsjańską Tylko kto w niej będzie walczył? Niech pan sobie przypomni, jak wygląda Mars. Zbiorowisko odosobnionych, autonomicznych osad, w każdej inna kultura, w każdej inna nacja. Tych ludzi nic nie łączy, poza wspólną historią. Jedyne, co tworzy ten naród, to świadomość stania po właściwej stronie. My, Marsjanie, to naród szlachetnych bojowników o wolność i sprawiedliwość. Ziemia - to bandyci i krwio pijcy. Zgadza się, że to nie są najlepsze podstawy do tworzenia narodu, ale nie ma innych. Chce im pan to odebrać? Te rodziny z Doliny Muminków, z Posterunku 03D - może nie są gorącymi patriotami, może wieszają psy na rządzie w Olympus, ale gdy trzymali nas partyzanci - nie widział pan tego, bo trudno to dostrzec nie żyjąc na Marsie, z Marsjanami - biła od nich duma i pogarda dla oprawców. Znaleźli się w sytuacji znanej z historii - znów po jednej stronie byli oni, a po drugiej bandyci z Ziemi. Odebrać im Amalteę - to odebrać im tę dumę, uczynić z nich zwykłych rolników, którym będzie wszystko jedno, kto rządzi na wulkanie, dopóki daje pieniądze na maszyny i nawozy.

Suchy, przerywany kaszel przerwał tę długą przemowę. Trwało to jakiś czas, w ciągu którego usiłowałem zebrać rozbiegane myśli.

- Przepraszam - rzekł, chowając do kieszeni chusteczkę. - Nie powinienem tak się unosić, to nie robi mi najlepiej. Cholerny pył. Mars zabija szybciej niż Ziemia. Mam sześćdziesiąt dwa lata, ale mój organizm sądzi, że dobijam do setki. - Uśmiechnął się słabo.

- A więc - zacząłem wyrażać myśl, która właśnie przyszła mi do głowy - to miał pan na myśli, mówiąc, że Christiansen usiłował przekonać pana do swoich racji. To jednak on ma w końcu rację, czyż nie?

- Rację? - zachnął się Doleanu. - Nie, redaktorze. Christiansen mówi prawdę o Amaltei, ale czy to znaczy, że ma rację? Nie wydaje się raczej panu, że rację ma matka Marina? Prezes Leipschitz? Ja? Że racja stała w tej wojnie raczej po stronie Rebeliantów, niż MLA? Co zmienia fakt, że Amaltea była mistyfikacją? Z historycznego punktu widzenia - nic. Może mi pan wierzyć, ja się na tym znam. - Drgnienie warg w smutnym uśmiechu. - Objechałem wszystkie miejsca masowych mordów badane przez Komisję Śledczą. Co do jednego - wszystkie były autentyczne. Ale Amaltea była spreparowana. Czy mamy w związku z tym uznać, że pozostałe stopy trupów się nie liczą? Doszedłem kiedyś do wniosku - ciągnął - że najważniejsze w sprawie Amaltei nie jest to czy wydarzyła się naprawdę, czy też była fikcją. Nie jest ważne, ile trupów znaleziono w dole i skąd się tam wzięły. Ważne jest to, że mogła się wydarzyć, i nikogo by to nie zdziwiło. Właśnie, najbardziej uderzająca była reakcja świata. Nikt się niczemu nie zdziwił.

Niech pan sprawdzi to po powrocie do domu - mówił dalej profesor. - Ani jednego głosu zaskoczenia, jedynie powszechne oburzenie. Nikt nie spytał, jak to możliwe? Jak można zrobić coś takiego? Nawet MLA niczemu nie zaprzeczyła. Pewnie nie mogli się doliczyć - jedna masakra mniej, jedna więcej... Wszyscy natychmiast przyjęli do wiadomości fakt brutalnego zamordowania kilkudziesięciorga dzieci. Jakby to było coś najnormalniejszego w świecie. Wiele lat zastanawiałem się nad tym. Gdzie popełniono błąd? Co stało się z nami, z ludźmi? Być może leży to w naszej naturze, być może sięga to czasów starożytnych, lwów na arenach, płonących stosów... sam nie wiem. Myślałem, że badanie historii odpowie na to pytanie, ale jedynie odsunęło je w czasie. Gdzieś straciliśmy wrażliwość, a może nigdy jej nie mieliśmy?

Aparat przy łóżku zapikał trzy razy. Po chwili do pokoju weszła pielęgniarka z lekarstwami.

Siran Doleanu wstał, wygładził staroświecki garnitur, uśmiechnął się.

- No, na mnie już czas, redaktorze. Proszę pamiętać o wszystkim, co tu powiedziałem. Proszę pamiętać o prawdziwym przesłaniu dzieci Amaltei - nachylił się i wyszeptał mi do ucha, tak by przygotowująca zastrzyk pielęgniarka nie usłyszała - prawda jest ważniejsza od życia. Ale najważniejsze jest to, w co wierzymy. A to nie zawsze to samo.

\* \* \*

- Noo, słuchaj, całkiem nieźle ci to wyszło, Zelig - szef gorąco pochwalił przedstawiony mu materiał. - Ta historia z partyzantami to wszystko prawda? Przyznaj się! - Mrugnął szelmowsko.

- Mogę pokazać wyniki obdukcji - odparłem z uśmiechem.

- Eee, nie trzeba, wierzę, wierzę. - Machnął ręką. - Oczywiście, te teksty o poparciu terrorystów przez Konfederację trzeba będzie wyciąć, po co jątrzyć. Mhmm... Szkoda, że nie dogadałeś się z tym, jak mu tam... - sprawdził na ekranie

- Christiansenem. Ciekawy przypadek.

- Też żałuję, ale wiesz, jak oni na nas reagują... Musiałbym ukraść albo sfalszować legitymację z „Naszej Ziemi”, żeby w ogóle chciał ze mną rozmawiać. Ale w archiwach znalazłem wystarczająco wiele danych, żeby go dokładnie opisać.

- Taak, właśnie widzę... No cóż, wygląda to, jak już mówiłem, nieźle. Damy chyba na początek działu historycznego w wydaniu rocznicowym, co ty na to?

- Ależ... - udałem zdumienie - to wielki zaszczyt!

- No, nie bądźmy tacy skromni... To naprawdę kawał porządnej roboty. Fakt, że miałeś ułatwione zadanie, z rozmów z taką trójką trudno nie wycisnąć czegoś ciekawego; chociaż znam paru, którym by się to udało, na przykład z „Zeitunga”... - mruknął w zamyśleniu. - Ale nie, to jest dobre. Zwłaszcza zakończenie... Jak to powiedział ten Doleanu?

- Prawda jest ważniejsza od życia - odpowiedziałem usłużnie.

- A, właśnie. Bardzo słusznie. W końcu czy nie takie są ideały niezależnych dziennikarzy?

O kim mówisz? Chyba nie o sobie?, pomyślałem, ale głośno przytaknąłem. Szef jeszcze raz rzucił okiem na ekran.

- Prosisz o dwa tygodnie urlopu, widzę?

- Tak, szefie. Muszę trochę odpocząć, to był dosyć wyczerpujący wyjazd - partyzanci i w ogóle...

Przygryzł dolną wargę w zamyśleniu.

- Dobra. Należy ci się - zdecydował i podpisał zgodę. - Jedź gdzieś nad morze, odpocznij, popływaj... Polecam Zatokę Fińską. Byłem tam w zeszłym roku. Piasek, palmy, gorące dziewczyny...

- Właściwie - przerwałem - to już mam pewne plany.

- Tak? - zdziwił się i chyba trochę zirytował, że nie przyjąłem jego sugestii. - Dokąd w takim razie się wybierasz, jeśli wolno wiedzieć?

- Do Doliny Muminków - odparłem, zabierając ze stołu dokumenty.

-

Dziesięć minut później byłem w gmachu Centralnego Archiwum Dokumentów i Depozytów. Przywitał mnie wbudowany w biurko elegancki android, będący człokształną końcówką terminala. Wsunąłem swoją kartę do czytnika i zaktywowałem konto.

- Czym mogę służyć?

- Chciałem przechować zawartość tej karty na moim zamkniętym koncie. Zelig-4-Tara.

- Oczywiście. Bezterminowo, czy na konkretny okres?

- Na pięćdziesiąt lat.

Android uniósł brwi w udanej imitacji zaskoczenia.

- Czy ma pan jakieś szczególne uwagi?

- Tak. Chciałbym, aby w setną rocznicę masakry pod Amaltea zawartość tej karty ujawniono i wysłano do głównych mediów Konfederacji.

- Zarejestrowano. Życzy pan sobie stare hasło, czy wprowadzić nowe?

- Nowe.

- Proszę wprowadzić.

Zawahałem się. Zawsze miałem problem z wymyśleniem haseł.

- Czy możesz się stąd połączyć z bazą? - spytałem androida.

- Oczywiście.

- Dowiedz się, jak nazywał się balwierz króla Midasa.

Android zamyślił się na chwilę, co było oczywiście tylko grą na użytek człowieka - w istocie połączenie z Centralną Bazą Danych było natychmiastowe.

- Kalamis.

- Dobrze. Nowe hasło: Kalamis.

- Tak jest.

Wyszedłem z Archiwum, wezwałem taksówkę i kazałem się zawieźć do „Winstona”, starej knajpy na przedmieściu.

- „Wschód Słońca” i coś do popicia - rzuciłem do barmana. Po chwili na talerzyku przede mną znalazła się porcja narkotyku, obok stał kieliszek z „Uralską”.

Podobno zwałem się dopiero o północy.